

SAFES.

M-me Bourtis rzekła pewnego dnia do swego małżonka:

— Pójdź ze mną dziś po południu do banku. Zajrzymy do kasetki (safesu). Mam dużo kuponów do odcięcia. Nie chcę sama na siebie brać tej roboty. William Bourtis zaprotestował. Wolałby odłożyć na później tę pańszczyznę. Ale żona nalegała. Niema rady. Trzeba usłuchać!

William Bourtis wpadł z tego powodu w najgorszy humor. Prawdę powiedziawszy harmonia między państwem Bourtis była od kilku lat więcej niż problematyczna. Nabrali oboje nawyknień osobistych, które dziwnym zbiegiem okoliczności, wiodły ich w kierunku wręcz przeciwnie.

„Ona“, przeobraziła się w próżniącą i gadatliwą damę światową, „on“, jako autor dramatyczny przepadał za towarzystwem artystek teatralnych, interpretujących lub mogących w najbliższym czasie interpretować jego utwory. O w pół do drugiej William wyraził życzenie, aby żona była już gotową do wyjścia.

— Bank otwarty o drugiej — zwróciła mu uwagę żona.

— Właśnie! Nim zajdziemy, będziemy w samą porę.

— Muszę się ubrać.

O, Boże, Boże! zawsze się spóźniasz!

— Wcale nie. Zresztą — nudzisz mnie!

W tym mniej więcej tonie rozmawiali z sobą zwykle!

Trzecia godzina wybiła już od kilku minut, kiedy przyszli do banku i znaleźli się na dole w oddziale sefów, przymocowanych do murów i strzeżonych przez ciężkie drzwi żelazne.

Urzędnik spełnił swoje zadanie polegające na włożeniu do zamka pierwszego klucza, poczem zwrócił się do pana i pani Bourtis ze słowami:

— Już, szanowni państwo! Teraz proszę nastawić cyfry. (Pan i pani Bourtis spojrzeli na siebie z niepokojem. Do sefu przychodzili bardzo rzadko.

— Czy pamiętasz naszą liczbę? — zapytał William.

— Nie.

— Nigdy nic nie wiesz!

— A ty? Pamiętasz?

— Nie! Mam dużo innych rzeczy na głowie.

Trzy guziki mosiężne o brzegach spłaszczonych i prążkowych błyszcząły na ciemnym tle kasetki, ale właściciele nie posiadali zakłętę słowa do otwarcia drzwi tajemniczego sesamu.

— Postarajmy się przypomnieć ją sobie.

— Ale jak?

— Nigdy się nie wybiera na chybił trafił cyfr sekretnych safesu. Ażeby przyjść

z pomocą pamięci, wiąże się je zwykle z datą jakiegoś ważniejszego wypadku w życiu. O czym mogliśmy myśleć w chwili, kiedy trzeba było zaopatrzyć ten zamek w sekret?

— Zaczniemy od początku. O naszych zaręczynach może?

— W którym roku?

— Och! Williamie! Zapomniałeś roku naszych zaręczyn? A przecież przeżyliśmy kilka przednich tygodni wówczas! Przypomnij sobie.

— Pewnie...

— Na wsi, u moich rodziców. (Przyjeżdżałeś konno każdego popołudnia. Wdrapując się na drabinę, czatowałam poprzez parkan ogrodzony na twoje przybycie. Miałeś zawsze zabawne nowiny dla mnie. Byłeś wesół wtedy.

— Jestem i dziś wesół.

— Nie w ten sposób!

— Owszem!

— Nie! Było to w 1919 roku. Spróbuj pierwsze trzy albo ostatnie trzy cyfry.

William schylił się i nastawił zamek na obie liczby. Daremnie. Prostokątne dzwiczki, hermetycznie zamknięte, jak drzwi celi więziennej ani drgnęły.

— Może rok naszego ślubu? Następny, — ciągnęła dalej m-me Bourdis. — Ludzie uważali, że tworzyliśmy to, co się nazywa „dobrze dobraną parą“. Zwierzałeś mi się ze wszystkich swoich projektów, których miałeś bardzo dużo. Byłam młodą i ufną. Powinniśmy byli być najszczęśliwszym małżeństwem w świecie. Ty byłeś entuzjastą wówczas.

— I jestem nim jeszcze.

— Być może, ale inaczej! Spróbuj z cyfrą 1920... 192 najprzód... 920 potem!

— Nie rozumiem dlaczego uważasz, że nie jestem takim entuzjastą, jak dawniej...?

William mówił to bez przekonania. Nie pilno mu było nastawiać nowe cyfry przy zamku. Nigdy dotychczas nie miał sposobności wspomnienia uczuć, których doświadczał w okresie zawierania ślubów małżeńskich. Nie był wzruszony niemi, broń Boże! Ale jakiś niepokój drasnął mu serce. Jego żona musiała spróbować cyfr 192 1920, bo on się do tego nie zabierał.

— Nie! Nie to!

— Co w takim razie?

— Nie wiem.

— Czy pamiętasz dzień urodzin, w dwa lata później, Gastona? Jakiśmy go pragnęli, tego drogiego chłopczykę! O czym nie marzyliśmy dla niego! Musiał być najpiękniejszym, najmądrzejszym, najlepszych ze wszystkich dzieci. Razem szykowaliśmy mu wyprawkę. Jego kołyska czekała ufnie w rogu naszego pokoju jak gniazdko. Niestety! Żył kilka godzin za ledwie! Nie widzieliśmy nawet barwy jego oczu. Jakimby był dźwięk jego głosu? Jakby się do nas uśmiechał? Gdyby nie zgasł tak przedko, kto wie, czy życie nasze nie ułożyłoby się

zupelnie inaczej? Dotrzymywałbyś mi częściej towarzystwa, ażeby być przy nim. rozmawialibyśmy z sobą mniej szorstko i twardo ze względu na niego. Kochalibyśmy się w dalszym ciągu przez miłość dla niego.

Pan i pani Bourtis wzięli się za ręce. Ażeby ukryć wzruszenie przed dozorcą kasetek stanęli za wysokimi opancerzonymi drzwiami. Rachunek sumienia zbliżał ich ku sobie. Przez brak woli i energii tylko oddalili się od siebie. Zdarzenie z sefem połączyło ich znowu.

— 1922! Spróbujmy!

Ani 192 ani 922 nie dało dobrego rezultatu.

— Chodźmy! Chcesz?

Opierając się o siebie, jak gdyby pragnęli razem dźwigać odzyskane szczęście kierowali się ku schodom wyjściowym, gdy William zawołał nagle:

— Przypomniałem sobie trzy cyfry: 913... trzy ostatnie liczby roku 1913, daty otrzymania dyplomu uniwersyteckiego przeze mnie!

Tym razem kasetka otworzyła się...!

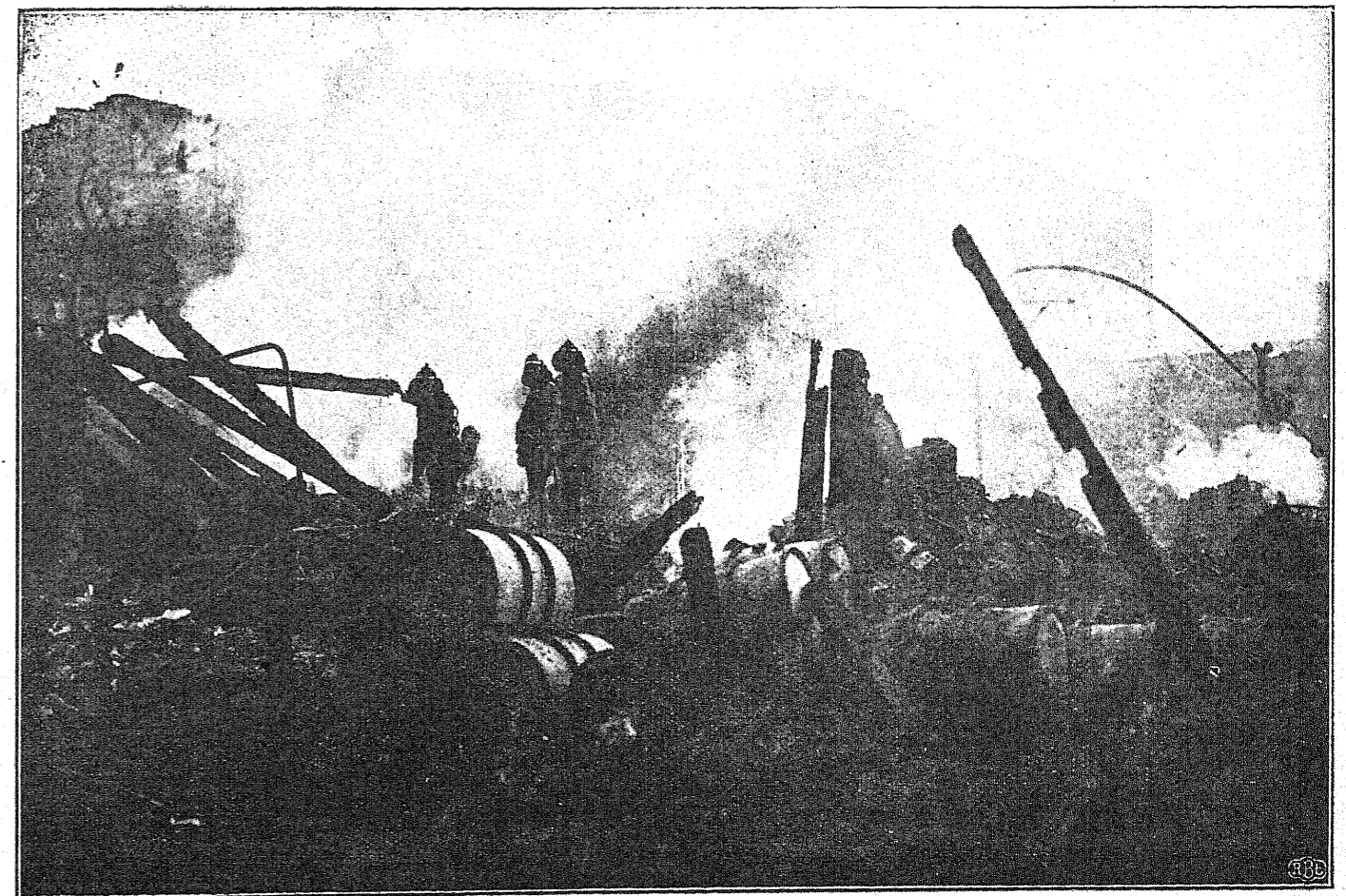
Tłum. Jotsaw.



Marmurowy posąg dłuta profesora Edwarda Wittiga.



Na zgliszczach i rumowisku...



W dniu 28 ub. m. mieszkańcy Łodzi przeżyli istną noc dantejską, będąc świadkami tragicznej w swych skutkach katastrofy, spowodowanej gwałtowną eksplozją, jaka nastąpiła w składach chemicznych E. Hadriana, przy ul. Ceglarnianej 81. Niszczycielski żywioł zniweczył nie tylko całą posesję fabryczną, lecz poważnie uszkodził i zdemolował okoliczne zabudowania. Na zdjęciu widzimy fragment olbrzymiej katastrofy po zlokalizowaniu i częściowym stłumieniu rozszalałego pożaru. Na gruzach i zgliszczach stoja placówki straży ogniowej.

TEATRALIA

„Prawdziwa miłość”. — Sztuka, o której głośno. — Teatr Rotszyldów. — Nowości zagraniczne.

Warszawski Teatr Mały, posiadając parę tak zgranych „kochanków”, jak pp. Malicka i Węgierko, wystawił „Prawdziwą miłość” — Roberta Bracco, komedię miłą, wdzięczną grywaną często na scenach polskich jeszcze przed wojną. „Prawdziwa miłość” jest, jak wiadomo, komedią - dialogiem, jakgdyby prototypem popularnego „Świt, dnia i nocy”. Sielanka miłosna, wyśpiewana przez Braccę wśród pięknych dekoracji włoskiego południa, pociąga do dziś dnia subtelną uczucią i urokiem pewnej, anachronistycznej może nieco naiwności. Doskonała para wykonawców, którzy do perfekcji doprowadzili sztukę scenicznego dialogu, podpira mocno rusztowanie komedii, cieszącej się zrozumiałym powodzeniem. W „Prawdziwej miłości” śpiewa swą ląbedzią pieśń na scenie Szyfmanowskiej Al. Węgierko, opuszczający z początkiem nowego sezonu dotychczasowy teren pracy.

Sensacją zakończenia sezonu teatralnego w Paryżu jest sztuka wybitnego pisarza francuskiego, Jana Giraudoux, p. t. „Siegfried”. Sensacją — nie tylko ze względu na osobę autora, lecz przede wszystkim z uwagi na momenty polityczne, w sztuce zawarte. P. Giraudoux, wzorem wielu polityków, publicystów i pisarzy francuskich, jest pionierem pokojowego współżycia Francji z Niemcami, którego fundamentem ma stać się zbliżenie duchowe, kulturalne Locarno. Nie znaczy to, by autor pragnął roztopić patriotyczne poczucie francuskie w morzu pacyfistycznej, czy pro-germańskiej frazeologii. Chodzi tu tylko o wykazanie, że i Niemcy są wielkim narodem, że i oni mają zbiorowe zalety, których nie można nie uznawać, że — wreszcie — pokój na reńskiej granicy jest perspektywą szczęśliwego bytowania zarówno dla obu sąsiadów, jak dla całego świata.

Dla przeprowadzenia swej tezy, p. Giraudoux skonstruował historię bardzo wymyślną, ba! ocierającą się zbyt wyraźnie o faktyczne niepodobieństwo. Bohater sztuki, oficer francuski, znalazłszy się w niewoli niemieckiej, na skutek odniesionej kontuzji popadł w amnezję, czyli utracił zupełnie świadomość przeszłości. Pielęgniarka-Niemka, Ewa, poczyna odnowa „wychowywać” dotkniętego niepamięcią oficera, wychowywać go oczywiście na Niemca. Pod nowym pokostem ściera się jakgdyby do cna podkład kultury ojczystej i gallickiej duszy bohatera. Jan zamienia się do tego stopnia w Siegfrieda, że, idąc ze szczebla na szczebel, staje się premierem, nawet dyktatorem Niemiec. A jednak to co jest tylko przytępieniem, nie jest jeszcze zanikiem. W ciągu perypetyj sztuki Giraudoux — zachodzi proces powrotny, powolny ale uparty. Siegfried — mimo wszystko, władzę, zaszczyty, dostojęstwa — staje się znowu Janem, powraca do tego punktu egzystencji, skąd wyrwał go ów fatalny pocisk. Symbolem wołającej ojczyzny staje się kochana dawniej — kochająca dotąd Genowefa, której przywiązanie gra rolę skutecznego antidotum na zabieg

Ewy. Jan pozostanie przecież Francuzem, choć, podobno, czas w niemieckiej skórze spędzony, nie przypadnie bez śladu dla psychiki bohatera, lecz zbudzi w nim i utrwali szacunek dla dawnych wrogów i chęć zapomnienia im ciężkich win i uraz.

Pomijając tendencję sztuki, wywołującej rozgłosną polemikę na szpaltach całej niema! politycznej i literackiej prasy francuskiej należy, z innego patrząc punktu widzenia, podkreślić, że „Siegfried” posiada poważne walory literackie i sceniczne, że okraszony jest inteligencją, sentymentem i dowcipem prawdziwie francuskim. Nic też dziwnego,



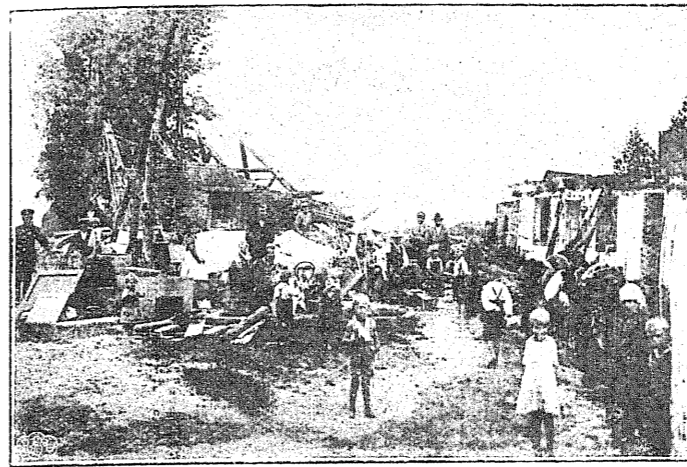
Najdotkliwiej ze wszystkich bliżej i dalej położonych od miejsca katastrofalnego wybuchu w składach chemicznych E. Hadriana posesyj ucierpiał pałac Stillera i Bielszowskiego. Powyżej zdemolowane wnętrza pałacu

że sala Comédie des Champs-Elysées co wiecór zapełnia się szalenie publicznością, a — jak świadcze zapowiedzi — „Siegfried” ma być wkrótce tłumaczony na parę języków europejskich i wystawiony w przyszłym sezonie w większych teatrach poza granicami Francji.

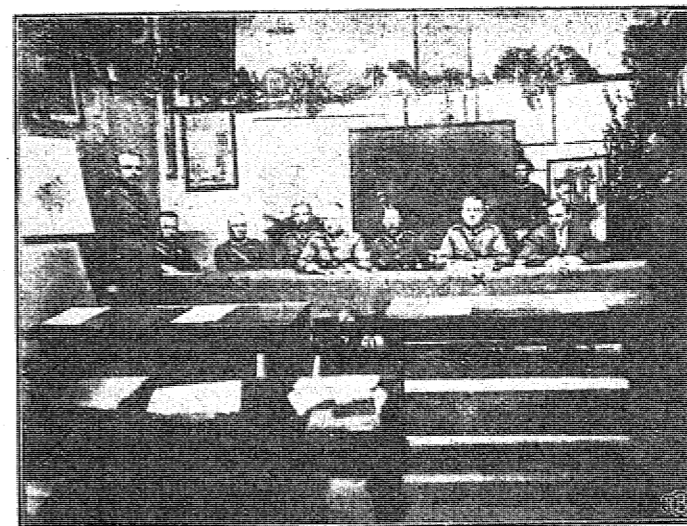
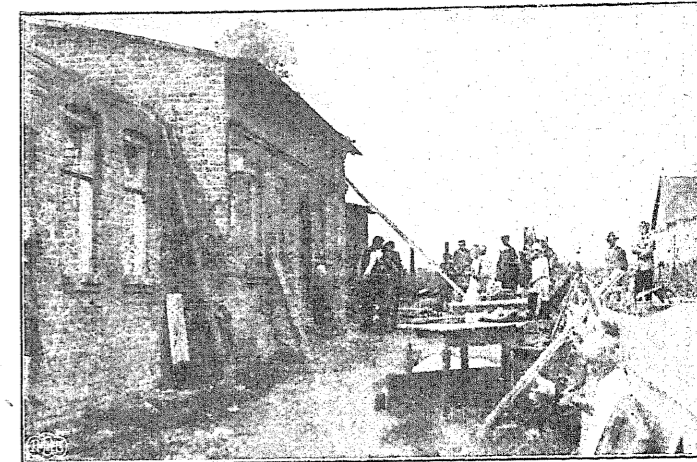
Z początkiem tegoż sezonu czeka Paryż inna sensacja teatralna, mianowicie otwarcie nowego, zakładanego przez Rotszyldów teatru przy ul. Pigalle. Znani bankierzy paryscy postanowili się zabawić w przedsiębiorców teatralnych, co im ostatecznie zbyt wielkiego uszczerbku materialnego nie przyniesie. Zresztą, jeden z fundatorów, Henryk Rotszyld, posiada niejaki aspiracje literackie i jest autorem paru sztuk, które przeszły w swoim czasie bez echa. Być może, że pragnie on obecnie „odegrać” się na własnej scenie. Zainteresowanie tą imprezą zwiększa się znacznie dzięki temu, że na czele nowego teatru ma stanąć słynny Antoine, ongiś założyciel Theatre Libre i znakomity reformator teatru francuskiego. Antoine był przez szereg lat kierownikiem rządowego „Odeonu”, lecz — jak to często bywa — ustąpił w r. 1913, nie mogąc się zgodzić z narzuconymi mu zgóry dyrektywami, — i dopiero teraz, w sędziwym już wieku,

ujmuje znowu w ręce ster spraw scenicznych.

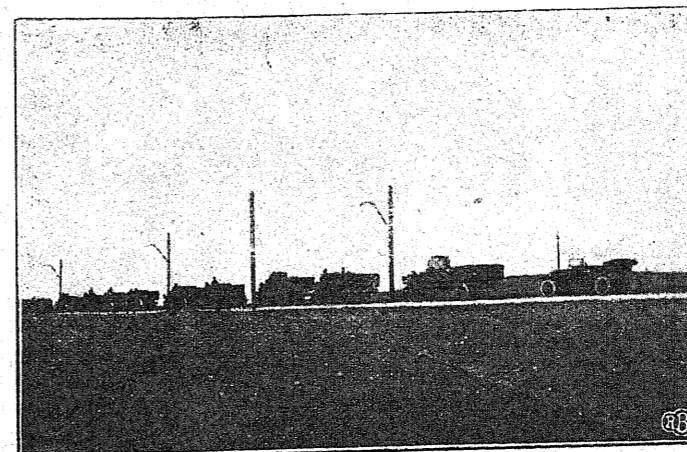
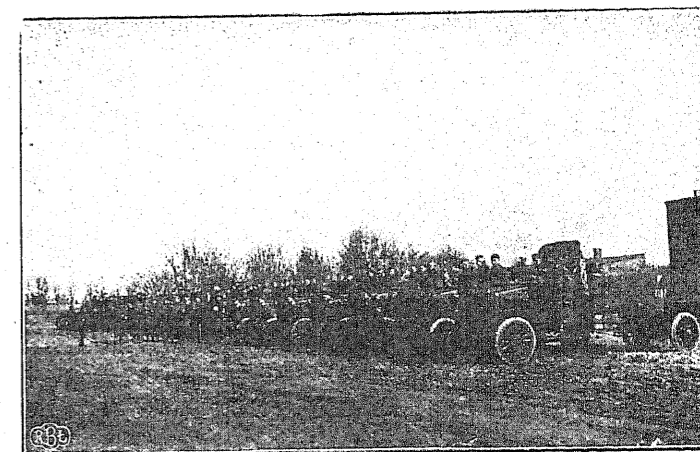
Zdawna zapowiadana premiera nowej opery Ryszarda Straussa — „Helena Egipska” — odbyła się wreszcie w operze wiedeńskiej, wywołując entuzjazm publiczności. Mimo to jednak, krytyka odniosła się do „Heleny” z poważnymi zastrzeżeniami, podkreślając m. in., że kompozytor Strauss trafił na nieodpowiedniego librecistę, którym jest Hofmannsthal. Wartości muzyczne opery są dość mierne i opierają się głównie na efektownym modernizmie orkiestralnym, nie wychodząc jednak naogół poza sferę dotychczasową.



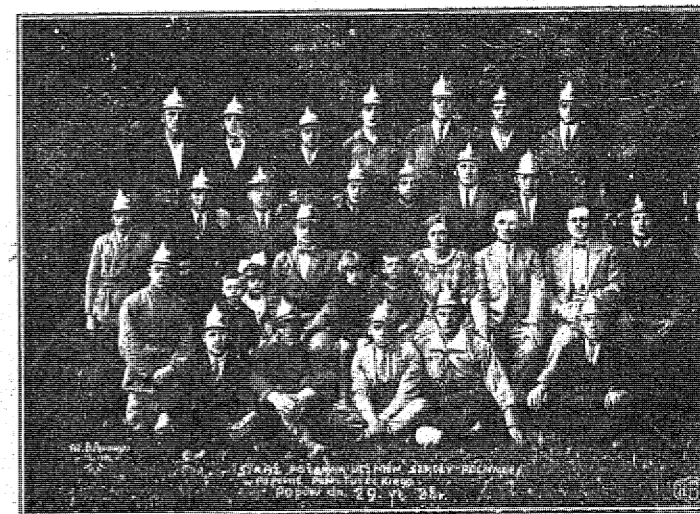
W dniu 28 ub. m. przy ul. Konstąntynowskiej Nr. 167 miał miejsce olbrzymich rozmiarów pożar, który zniweczył cały dobytek ludzki, przeważnie skromną własność rodzin robotniczych. Na lewo pogorzelnicy z resztkami swego dobytku, na prawo — częściowe ruiny domu.



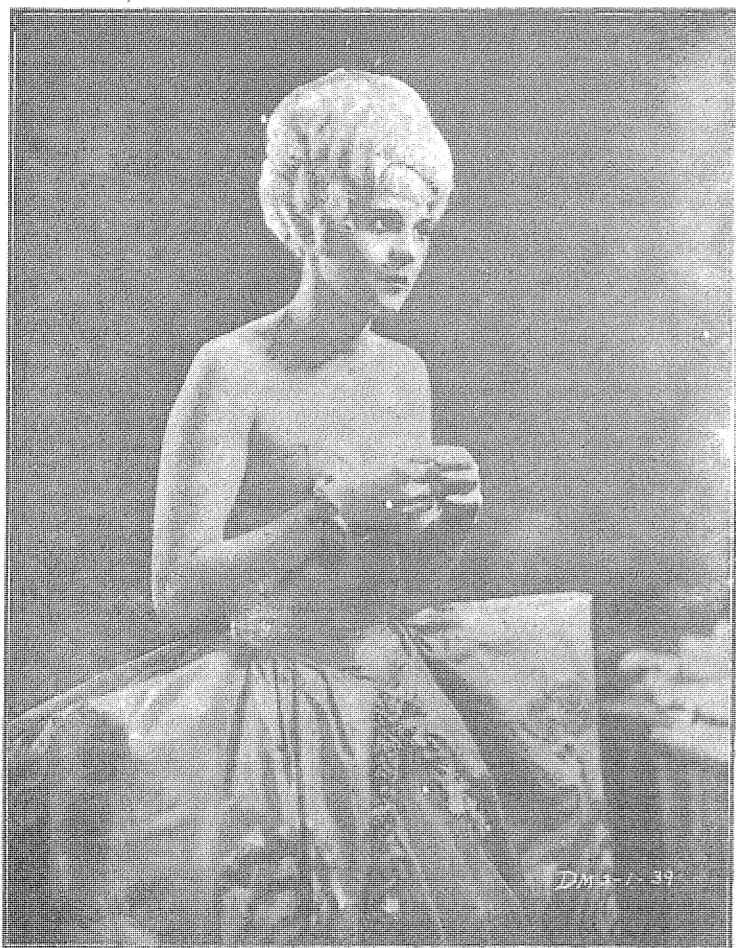
W ubiegłym tygodniu 4-ty Dyon Samochodowy w Łodzi obchodził swe święto doroczne, związane z szeregiem uroczystości. Powyżej na lewo komisja egzaminacyjna 4-go Dyonu, złożona z oficerów pp.: ppłk. Rzeszowski (X), d-cy kolumny szkolnej kpt. Dubrowski (XX), oraz przedstawiciela Urzędu Wojewódzkiego Grzesiowski (XXX) na czele w sali szkolnej 4-go Dyonu; na prawo kolumna szkolna przed wymarszem.



Kolumna szkolna 4-go Dyonu Samochodowego w Łodzi w szyku jazdy transportowej.

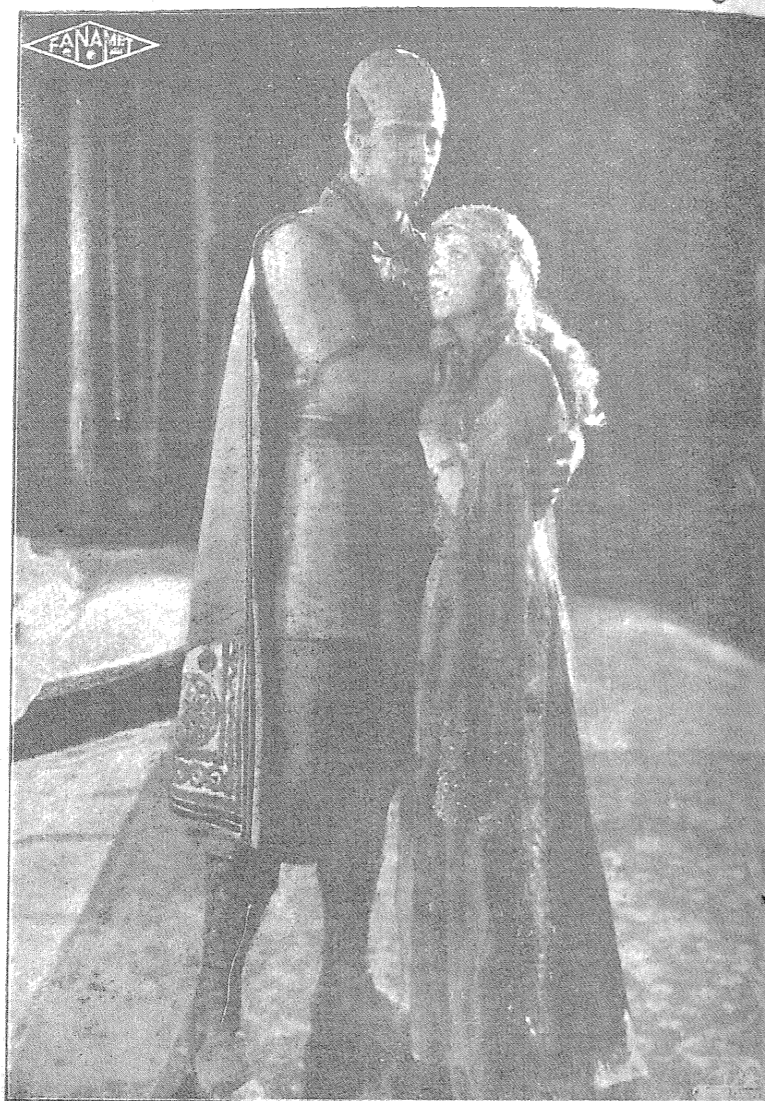


Szkola rolnicza w Popowie posiada własną straż ogniową, złożoną z uczniów szkoły. Powyżej oddział straży szkolnej.



DM 4-1-39

Uroczą gwiazdą filmową, Vera Reynolds, ulubienicą Łodzi w ostatniej kreacji w filmie p. n. „Uśmiech słońca”, który wyświetlany był w tygodniu ubiegłym w kinoteatrze „Casino”.



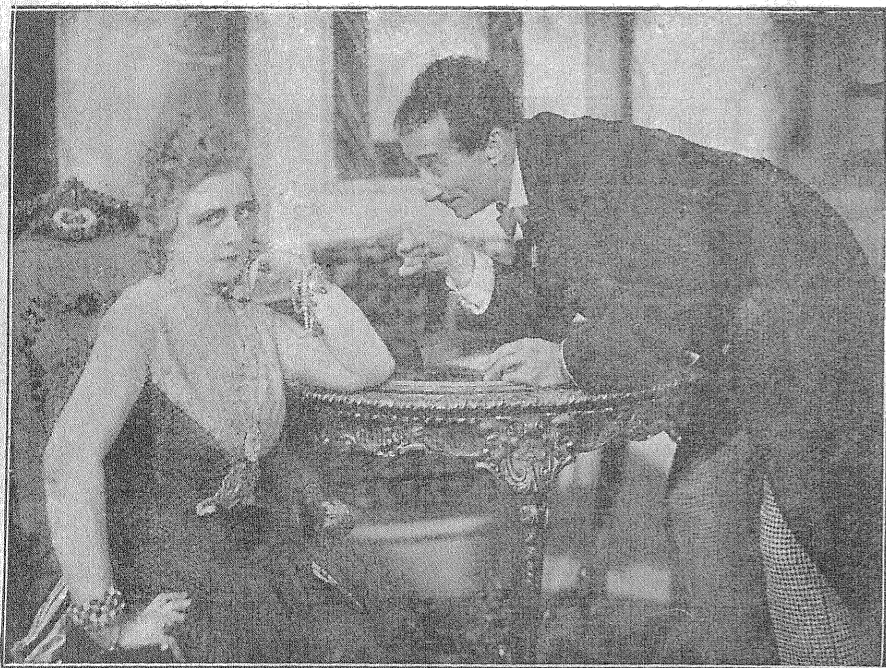
Najpotężniejszą kreacją pięknego Ramona Novarro, dzięki której został ogłoszony w poczet „gwiazd” filmowych — był „Ben Hur”.



Jedną z artystek srebrnego ekranu, J. Realston, gwiazdą wytwórni „Paramount”.



Artysta filmowy Emil Jannings w życiu codziennym.



Teatr Narodowy w Warszawie wystawił ostatnią komedię p. t. „Ognie sztuczne” L. Chirellego. W rolach głównych p.p. Cwiklińska i Kamiński.



Adolf Menjou i Emil Jannings wystąpią po raz pierwszy razem w jednym filmie.



Fragment arcywesołej komedii Fedora p. t. „Sekretarka pana prezesa”, wystawionej w warszawskim Teatrze Letnim.



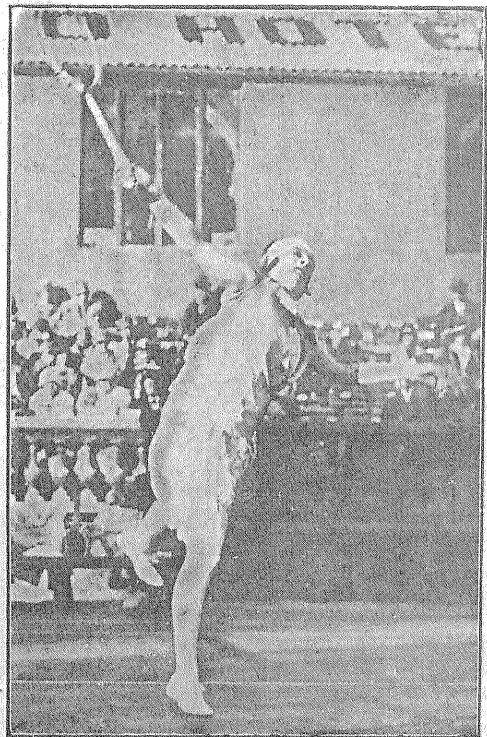
JOTES

Artysta teatrów miejskich w Warszawie, p. A. Bednarczyk w karykaturze.

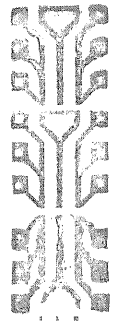
Ze sportu.



Sport piłki nożnej uprawiany z zamiłowaniem przez pleć piękną w Warszawie. Na zdjęciu widzimy kobietę- bramkarke w akcji.



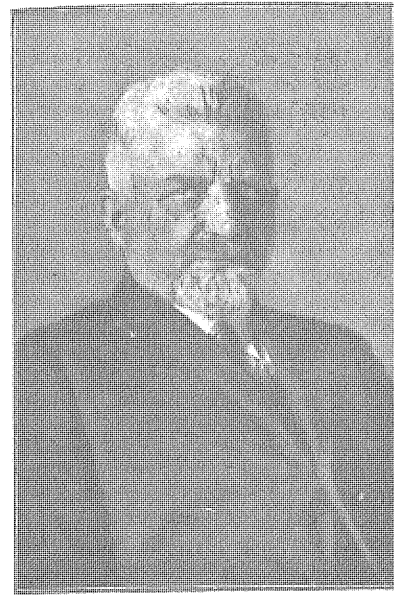
Zuzanna Lenglen, mistrzyni świata w tenisie, przybędzie do Polski w miesiącu sierpniu na skutek starań „Legii”.



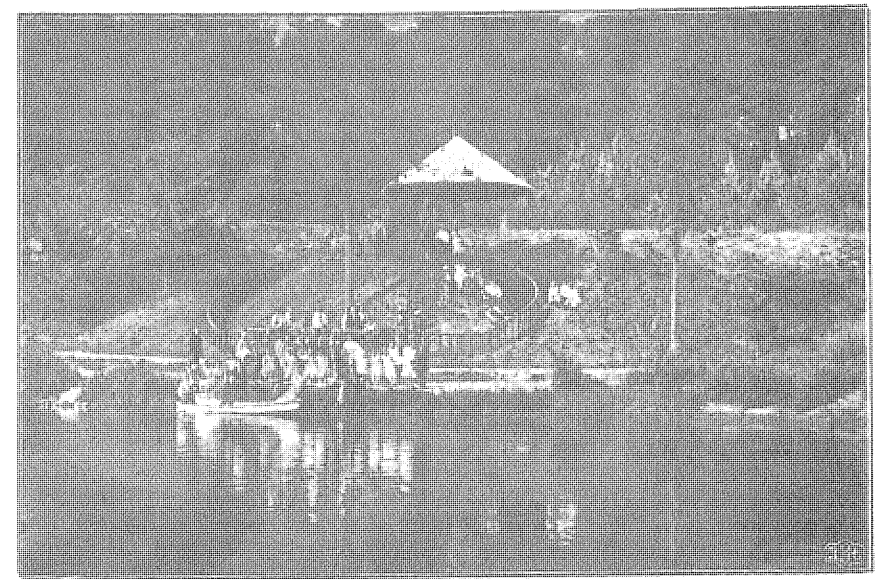
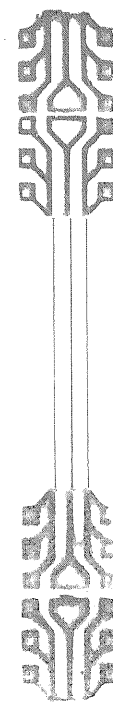
Otton Peltzer w swej brawurowej podróży po szerokim świecie. Powyżej widzimy podróżnika tego w drodze powrotnej z Ameryki do Europy.



Miła i ulubiona rozrywka dla młodzieży głuchoniemej stanowi sport, któremu poświęca ona wiele czasu wolnego od pracy. Powyżej grupa dziewczynek głuchoniemych zajmujących się sportem.



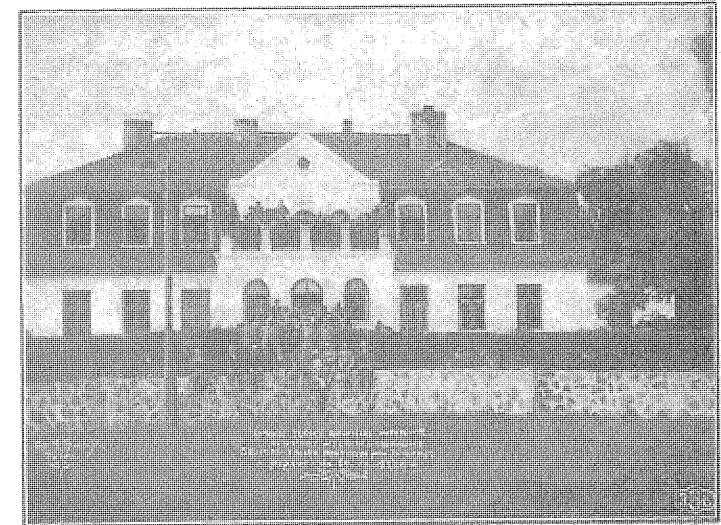
J. M. rektor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, prof. Mikulowski-Pomorski.



Uczestnicy wycieczki zorganizowanej do Spały przez klub N.P.R.—dzielnica staromiejska w Łodzi na tle lasów spałskich.



Zawody piłkarskie żołnierzy 4-go Dyonu Samochodowego w parku 3-go Maja.



Siedziba wzorowo utrzymanej szkoły rolniczej w Popowie, którą w ubiegłym tygodniu odwiedziła wycieczka złożona z członków sejmiku powiatu tureckiego. Na zdjęciu uczestnicy wycieczki na tle gmachu.



J. M. rektor Wyższej Szkoły Handlowej prof. Jan Dmochowski



Przedstawiciele Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej z Łowickiego na zdjęciu delegacji Stow. w Łodzi.

TŁUM.

Ujrzałem go na szczycie wydmy, w której obcasy jego butów wgniaty srebrzyste ostry. Zaledwie mnie spostrzegł, uczynił krok wstecz, nie mogąc opanować odruchu zdziwienia.

— Celrognae? — wykrzyknąłem.

Zdecydował się wówczas zstąpić ku mnie podczas gdy ja szedłem mu naprzeciw po sydkiem stoku piaszczystego wzgórza.

Wokół nas rozciągała się bezkresna samotnia tego nadbrzeża, które wrzyna się w występ najskrajniejszy Starego Świata. Nie znam nic bardziej patetycznego, jak ten zakątek swych piasków, smaganych i chłostanych przez przypyły, gdzie, zwróciwszy się twarzą do piennych bałwanów, czuje się całą Azję i całą Europę poza sobą.

Krajobraz przesłonięty jest tajemniczością. Niewidzialne błaka się i snuje między czarnymi skałami. Bezsilne porywy ciepłego wiatru lgną do zwilgotniałej skóry. Po czym nagle, potężne smagnięcie zmiata wszystko w powiewie, przesiąkniętym solą, jodem, wodorostem i czemś nieokreślonym jeszcze, co, być może, jest właśnie owym tchnieniem prazarodka bytów, zawieszonych w tej zielonkawej wodzie, hojnej rodzicielce światów.

Spotkanie Calrignac'a w tem ustronnym miejscu nie zdziwiło mnie nadmiernie. Jak mi było wiadome, ponad wszystko ukochał on te bezkresne dale, podległe tylko prawom wiatrów i przypyłów. Wszak to na Wyspie Przerżenia — w Onessaut — rozgrywa się akcja jego najpiękniejszej książki.

Od trzech już miesięcy przyjaciel mój nie dawał znaku życia, milczenie to jednak nie zdołało mnie zaniepokoić, od dawien dawna bowiem przyzwyczajony byłem do takiego postępowania.

W toku rozmowy, Calrignac wspomniął o nabyciu nędznej lepianki, na przyłasku Corsen, w której zakwaterował się na posłaniu celnika, w obliczu wodnych bezkresów.

— Kiedy wracasz do Paryża? — zapytałem go.

Odpowiedział mi, spuściwszy głowę:

— Nigdy!

— Co takiego? Czy ją dobrze słyszę?

Powtórzył:

— Nigdy!

— Ale dlaczego? Zastanów się, dlaczego?

— Ponieważ zabiłem człowieka!

Wiatr przyniósł nam okrzyk żalony strażnika pionego kuli, a niebo, od strony zachodu, przesłoniło się chmurami.

Ująłem dłoń mego przyjaciela: spojrzałem w tę twarz dumną, głęboko przeoraną dwiema pionowemi zmarszczkami i nie mogłem powstrzymać okrzyku:

— Ty?... Tyś zabił człowieka? — Cóż znowu!... Kłamiesz! Drwisz sobie ze mnie!

— Niestety! — wyszeptał.

Poczem zaciągnął mnie w cień, osiadłej na mielizmie łodzi, której kadłub szczyrnia-

ty rozdarty był przez fale, i wówczas to, po raz ostatni, głos jego usłyszałem.

— Czyś zastanowił się czasem nad odpowiedzialnością, jaką bierzemy na siebie, my literaci, powołując do życia którąś z naszych postaci?... zapytał. Czyś kiedykolwiek zadał sobie to okrutne pytanie: „Jaki kształt przybrać może w życiu dalszy ciąg naszego urojenia?...“ Nie! Oczywiście! Zbyt jeszcze jesteś młody, by stwarzać sobie troski niepotrzebne. Ale mnie, który już przekroczyłem czterdziestkę, mnie te zagadnienia dręczą i przerażają.

Poczem, bez przejścia, zapytał innym tonem:

— Czytałeś moją ostatnią powieść?

— Tak.

— Czy przypominasz sobie wątek akcji?

— Bardzo dokładnie: męczarnie tej kobiety, wytwornej i tkliwej, zaślubionej brutalowi, który moralnie ją torturuje... Nigdy, w badaniu serc ludzkich nie zstąpiłeś do takich otchłani.

— Czy pamiętasz także zakończenie tej książki?

— Tak! — Doprowadzona do ostateczności takim znęcaniem się i takim brakiem zrozumienia, kobieta owa wreszcie się buntuje. Myśl o zbrodni już jej nie przeraża. I, pewnej nocy, gdy mąż spoczywa u jej boku ciężkim snem zmożony, ona wstaje, udaje się po brzytwę do sąsiedniego pokoju, wraca do tej sypialnej komnaty, gdzie śpiący zdaje się nadstawiać biel swojej gardzieli...

— Waha się i nie uderza, dokończył Calrignac szepcąc zdławionym.

— Tak. To przebaczenie bez słów godne jest uwielbienia. Książka kończy się w atmosferze harmonii podniosłej i doskonałej.

— Ale fałszywej, odparł mój przyjaciel. Fałszywej i nielogicznej. Nagły zwrot mejej bohaterki jest kuglarstwem literackim. Niczem innym. Nie posiada on żadnego odpowiednika w rzeczywistości. I właśnie malując ją taką, przez ustępstwo mnie całkiem niegodne, stałem się mordercą. Tak jest, mordercą. Pomyśl tylko, iż powołałem do

życia istotę, iż uzasadniłem jej pragnienie zemsty, iż uzbroiłem jej dłoń, a następnie, powodowany nagłym wybrykiem, przerwałem naturalny bieg akcji, pozostawiłem w zawieszaniu broń już wymierzona. Stało się zatem konieczne, by, poza kręgiem mej woli, inna istota wcieliła w czyn ten gest zaledwie pomyślany. Czyn taki bowiem był logiczny co więcej, był nieodzowny. Brak jego okaleczał dzieło. A moją zbrodnią było właśnie to, że innym powierzyłem troskę nad usunięciem tego braku.

Mocno zważył szczęki. Nozdrza zaostrzyły mu się i zbiełały. Ciągnął dalej:

— Mój twór — to kobieta zrodzona z mojej wyobraźni — przyzywała na pomoc inną kobietę — kobietę z krwi i ciała, której życie na podobne weszło tory — i skłoniło ją do przypieczutowania krwią gestu, zapoczątkowanego między stronicami mojej książki. Rzeczywistość i urojenie stopiły się w jedno, dla dokonania tego czynu nieuniknionego. Wyobrażam sobie, że w przestworzach bohaterka mego utworu doznać chyba musiała ulgi niepomiernej, gdy pod naporem dłoni żywej, dłoni tej drugiej kobiety, ostrze nareszcie wdrążyło się w ciało śpiącego. I ja to właśnie — ja, twórca nieogledny — winien jestem śmierci tego człowieka którego być może przeczulem, ale którego nie znałem zgoła.

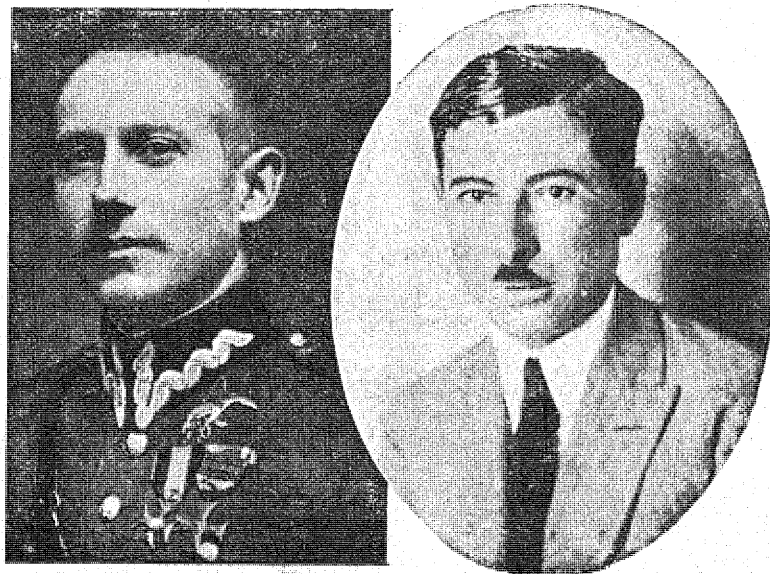
Calrignac powstał. Wiatr przesycony wilgocią rozwiewał połę jego płaszcz.

Dodał jeszcze.

— Myśl nasza kształtuje materię. Twory naszej wyobraźni rodzą się w nas, najczęściej, poza naszą wiedzą. I otaczają nas tem szczerzej, im zupełnie zdaje się być nasze osamotnienie.

Następnie oddalił się wielkimi krokami po stwardniałym piasku pustego wybrzeża. Od czasu zaś do czasu odwracał głowę, spoglądając za siebie, jakby w ślady jego długim orszakiem, szedł tłum milczących postaci.

Tłum. Elesta.



Lotnicy polscy, którzy postanowili przelecieć Atlantyk, majorzy: Idzikowski (na lewo) i Kubala (na prawo).



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok V.

Niedziela, 12-go sierpnia 1928 r.

Nr 33.

P. Prezydent Rzeczypospolitej w Kaliszu.



Przy zwiedzaniu Wielkopolski również do Kalisza przybył p. Prezydent Rzplitej prof. Ign. Mościcki. Powyżej widzimy p. Prezydenta z Małżonką w otoczeniu gen. Dzierżanowskiego, d-cy D.O.K. Nr. 7, gen. Jasińskiego, d-cy 25-ej dywizji i p. starosty Potockiego, odbierającego raport przy pierwszej bramie na ziemi kaliskiej od oficera instrukcyjnego P. W. por. Zielińskiego, d-cy plutonu honorowego Zw. Strzeleckiego w Szczyplornie